MŁODY LAS



6

LISTOPAD 1938



Wolna godzina

Monolog.

Uczeń wpada zdyszany na scenę i krzyczy:

»Wolna godzina!«

— Cicho, chłopcy, słyszeliście przecież, o co prosił gospodarz klasy! Jestem za dobre nasze sprawowanie odpowiedzialny a spadł na mnie ten zaszczyt z tego zapewne tytułu, że siedzę już w tej klasie drugi rok i jestem najstarszy. Nawiasowo — pięściami tłukę orzechy, słowo koguta, nie radzę się z nimi spotkać... Ty, Władek, nie śmiej się, bo za drzwi wyrzucę!... No, co będziemy robić? — Ciiicho... Nie wszyscy na raz! Chcecie, aby wam coś wesołego opowiedzieć? Zgoda, tylko żeby mi nikt pary z gęby nie puścił! Musimy dotrzymać słowa i siedzieć spokojnie, jak podczas lekcji.

Oto nie raz pytaliście się mnie, dlaczego repetuję, skoro jestem obecnie najlepszym uczniem. Wszystko przez tę przyrodę. Słowo koguta. Tak się jakoś składało, że każda moja odpowiedź wywoływała w klasie salwy śmiechu. Dziś nie mogę sobie wprost wytłumaczyć mego roztargnienia. Zapytał mnie np. profesor, dlaczego żyrafa ma tak długą szyję? Aby dostała do głowy, odpowiedziałem bezmyślnie. To może mi powiesz, zapytał dalej, do czego służy gorylowi ogon? — Do odpędzania much i myrdania, wystrzeliłem bez nabicia. Jak wiadomo, goryl nie ma ogona i profesor myrdnął mi dwóję. Słowo koguta. Ciiicho! Nie możecie się śmiać ciszej?!

Innym razem dostałem pytanie, jakie zwierzę jest najżarłoczniejsze? Mól, odpowiedziałem, bo żywi się nawet dziurami. Ale najlepiej udała się mi odpowiedź na pytanie, do jakiej rodziny należy wieloryb. Wiecie, co odpowiedziałem? — że moi rodzice nie składali takiej rodzinie wizyty i nie znam ich nazwiska. Klasa aż ryczała ze śmiechu.

Przyłączyło się niemieckie i koniec roku był żałosny. Do stopni niedostatecznych przyłączyło się odpowiednie zachowanie, ale to inna historia.

Było to w czerwcu. Na dworze lał deszcz jak z cebra, wielu przeto chłopców przyszło z parasolami. Wpadłem na pomysł, aby z tych parasoli zbudować w klasie piramidę. Ku radości kolegów pootwieraliśmy wszystkie parasole i ułożyliśmy ostrożnie jeden na drugim tak, że sięgały do samego sufitu. Możecie sobie wyobrazić, jaka to była heca, gdy wszedł profesor. Minęło pół godziny, zanim każdy parasol znalazł się na swoim miejscu a śledztwo trwało do samego dzwonka. Groziła kara całej klasie, więc przyznałem się i musiałem to odpokutować. Innym znowu razem założyłem się z Miętusem o 20 rzadkich marek, że całą lekcję przesiedzę pod katedrą. Słowo koguta. — Ciiicho, bo nie będę dalej opowiadał! Skoro tylko skończyła się pauza, wsunąłem się w sam kąt katedry, przycupnąłem cichutko i czekałem co będzie. W ostatniej chwili opuściła mnie odwaga i chciałem wyskoczyć, ale właśnie wszedł profesor. — Niestety było już za późno. Rozsiadł się wygodnie, otworzył dziennik klasowy i począł sprawdzać nieobecność. Była to lekcja geografii, więc koledzy musieli wychodzić do mapy. Tymczasem wszczął się w klasie ruch. Ten i ów parsknął śmiechem i krył się za plecami drugiego.



— Co to jest? — zgniewał się profesor i tupnął nogą. Pył zakręcił mi się w nosie i o mało nie kichnąłem.

— Rychik pod katedrą, odezwał się nagle głos z ostatnich ławek.

Miętusowi zrobiło się żal marek a z drugiej strony chciał, aby klasa miała widowisko. Wstrzymałem oddech i zimny pot wystąpił mi na czoło.

Profesor udał, że nie słyszy, rzucił jednak okiem na puste miejsce w ławce i do dziennika, gdzie nie była zanotowana moja nieobecność.

— Kręcik, zawołał sąsiada, dlaczego nie podałeś Rychlika?

— Bo... bo... panie profesorze, Rychlik jest w klasie.

Na sali zrobiło się jak w ulu.

— Cicho! — krzyknął geograf, ale niby burza zerwały się ze wszystkich stron głosy:

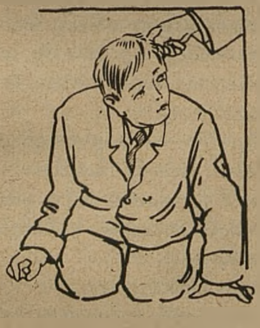
— Rychlik pod katedrą... Rychlik pod katedrą!

Profesor począł ostrożnie wyciągać najpierw jedną nogę, potem drugą, a miał zbłocone kalosze, i badał, czy go chłopcy nie biorą na kawał. Raptem brudny kalosz znalazł się na mojej twarzy. Przycisnął mocniej i poczuł coś miękkiego... Odsunął krzesło, schylił się i... wyciągnął mnie za kołnierz. Słowo koguta.

Możecie sobie wyobrazić mój wstyd. Chłopcy pokładali się ze śmiechu i tupali z uciechy nogami.

Wtem... otworzyły się drzwi i wszedł... pan Dyrektor. Wszyscy wstali i zapanowała cisza. Dyrektor spojrzał groźnie na zabłoconą twarz, następnie skierował pytające spojrzenie w stronę profesora.

— Ten niepoprawny wisus, panie Dyrektorze, objaśnił profesor, siedział od początku lekcji pod katedrą. Właśnie go stamtąd wyciągnąłem.



Znacie mnie, że nie jestem beksą, ale serdecznie się rozpłakałem. Gdybym mógł, zapadłbym się pod ziemię. Słowo koguta. I wiecie, co się stało? Poczciwy pan Dyrektor wziął mnie



za rękę, pożegnał się z profesorem, wyszedł bez słowa i zaprowadził mnie do gabinetu. Tam wsypał mi »burę« jak się patrzy i wytłumaczył, ile szkody poniosła przez moje głupie figle cała klasa. Musiałem mu dać słowo honoru, że się poprawię. Ponieważ zbliżał się koniec roku, zabrakło już czasu, by nadrobić to, co się lekkomyślnie zaniedbało. Musiałem powtarzać klasę i odpokutować wszystkie niepoczytalne wybryki. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że wielką Polskę budują nie tylko mężowie stanu, ale i my sztubacy, gdy spełniamy sumiennie swe obowiązki. Pan Dyrektor powiedział mi, że każdy uczeń nosi w tornistrze tekę ministra lub buławę naczelnego wodza. Zdobycie tych najwyższych godności zależy wyłącznie od nas. Dobrze to sobie zapamiętałem i postanowiłem dotrzymać słowa.

— Co? Czy Miętus dał mi przegrane marki? Początkowo wzbraniał się, bo nie wysiedziałem pod katedrą całej godziny, ale sąd klasowy rozstrzygnął spór na moją stronę. Zwróciłem mu je później, bo stał się mimowoli moim dobrodziejem.

Dzwonek! Jazda za mną na dziedziniec!

(Wybiega w podskokach)

Wisz.

Kochani Czytelnicy!

Jeśli chcecie, aby Młody Las był tańszy, to jednajcie nowych prenumeratorów. Jeśli każdy z obecnych prenumeratorów zyska 5 nowych, to numer Młodego Lasu będzie kosztował tylko 10 groszy.

Pokorny  Biskup.

Suma w katedrze wawelskiej dobiegała końca. Celebrujący biskup przybrany był w ornat bogaty, ogromny, w kształcie koła, skrojony z otworem do wkładania przez głowę. Ciężka, złotolita tkanina układała się na zgięciach rąk w głębokie, połyskujące na załamaniach fałdy. Szeroka a niska, wedle ówczesnego zwyczaju infuła, wyszyta była suto bezcennymi perłami. Z pod owej infuły spoglądała twarz uduchowiona o wyrazistych, mądrych oczach.

Katedra — nie ta, która dziś wieńczy wzgórze wawelskie, ale dawniejsza, obecnie podwaliny jej stanowiąca jako krypta św. Leonarda, pełna była rycerstwa przybranego zbrojnie i strojnie.

Oboje królestwo z królewiczem zasiadali na podwyższeniu purpurą okrytym naprzeciw wielkiego ołtarza. Król zajął środkowe z trzech krzeseł, wyniesione ponad oba boczne. Był to pan o szlachetnych rysach twarzy, w których przebijała się prostota i prawość. Szczerość i siła patrzyły mu z siwych oczu. Bardzo jasne, bujne włosy przycięte w grzywkę nad czołem opadały po bokach twarzy w sutych falach na ramiona. Skronie otaczała złota obręcz o kolcach sterczących w górę. Po jego prawicy zasiadała małżonka, królowa Grzymisława, po lewicy Bolko, tronu dziedzic, do ojca podobny nieco, jeno o włosach ciemniejszych i bez owej twardej woli w spojrzeniu. Dobroć i łagodność brały górę w obliczu młodego księcia.



Rodzina królewska wstała, żegnając się w skupieniu, bowiem właśnie biskup odwrócił się, udzielając obecnym błogosławieństwa, po czym w otoczeniu asystującego duchowieństwa zeszedł ze stopni ołtarza i udał się do zakrystii.

Rozbierając się z szat liturgicznych, myślał świątobliwy starzec:

— Ostatni raz... Ostatni raz oto miałem na głowie infułę biskupów krakowskich. Ostatni raz odprawiłem ofiarę świętą w katedrze królewskiej. Za chwilę nie dostojnikiem kościelnym będę, jeno wędrownikiem ubogim...

— Wasza Wielebność — zagadnął go cicho usługujący mu młody kapłan — miłościwy pan wyraził życzenie słów parę wam rzec. Nie opuścił jeszcze kościoła. Czeka, aż ornaty złożycie.

Ożywiło się oblicze biskupowe.

— Oznajmijcież panu miłościwemu, żem jego rozkazom powolny.

Młody ksiądz odszedł, a po chwili do zakrystii weszli oboje królestwo i Bolko.

Król Leszek — zwany »Białym« do biskupa przystąpił z twarzą stroskaną.

— Okrutnie mi na sercu ciężko — rzekł — że nas opuszczacie, mistrzu Wincenty. Jużcić musiałem na wasze prośby zezwolenie dać, ale ostatni raz jeszcze was

błagam — rozmyślcie się i ostańcie! — Nie mała to dla nas troska, iż stolicę biskupią opuszcza mąż na cały świat z nauk i cnót słynny.

Wzruszony mocno biskup odpowiedział z pokorą:

— Ja jeno niegodny zarządca kościoła krakowskiego. Znajdzie się na pewno godniejszy i nie dozna uszczerbku służba Boża — A skoro Ojciec święty z owego obowiązku mnie zwolnił, to już i wy, miłościwy panie, nie zatrzymujcie mnie.

— Przecząże porzucacie, wielebny mistrzu i godność, jedną z najwyższych w Polsce i bogactwa i nas, którzy was jako ojca czcimy?

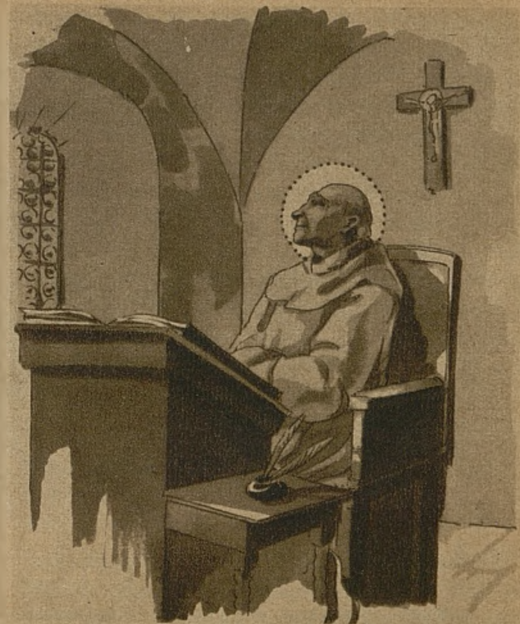
Biskup Wincenty spojrzał na księcia serdecznie.

— Zawszem pragnął — odrzekł — brzemię onych zaszczytów zrzucić i zbyć się dóbr doczesnych. Pokora — matka cnót wszystkich. A ubóstwo do nieba najpewniejsza droga. Radbym też resztę dni moich nad dziełem pracować, do którego mnie zachęcił ojciec wasz, miłościwy panie, nieboszczyk król Kazimierz, a które leży odłogiem, odkąd troski o diecezję wszystek mój czas pochłaniać zaczęły.

— Żali o waszej kronice mówicie?

— Tak, panie miłościwy. Muszę jej dokończyć. Gdym pacholęciem na dworze ojca waszego króla Sprawiedliwego bywał, przysłuchiwałem się rozmowie, jakie wieść ze sobą lubili biskup krakowski Mateusz i arcybiskup gnieźnieński Janko. Później, w dalekim Paryżu na naukach czas trawiąc, wspominałem owe mądre słowa warte, by je przyszłym pokoleniom przekazać ku zbudowaniu i w cnocie utwierdzeniu. Czynią tak ludzie na świecie szerokim, jeno żaden Polak jeszcze się tej pracy nie imał. Spisywał dzieje naszego narodu Gallus kronikarz, wszelako obcego on był rodu. — Polacy radzi mieczem wojują, a ja — dodał z uśmiechem — gęsiego pióra się chwytam. Tak więc, panie miłościwy i w celi klasztornej nie przestanę Bogu i ludziom służyć. Nie boli mnie strata godności ni dostatku, ale wyznaję, boli mnie rozstanie z wami. Miłowałem był z duszy ojca waszego... i was także miłuję... i synaczka waszego...

Leszek z wdzięcznością uchwycił rękę mistrza Wincentego.



— Wiem ja to, że o nas nie zapomnicie... Wiernym iście przyjacielem być umiecie.

— Już tej cnoty i wam, miłościwy panie, nikt nie odmówi. Woleliście koronę utracić, niż przyjaciela waszego, wojewodę Goworka. Bóg was nagrodził za to właśnie ową koroną.

— Jeśli mnie Bóg koroną nagrodził, za to, żem nią dla przyjaciela wzgardził, czymże nagrodzi was, że dla pokory dostojeństwa rzucacie?

Biskup ręce rozłożył.

— Nie dla nagrody to czynię, jeno mnie głos Boży woła.

Minęło pięć lat. — W klasztorze Cystersów w Brzeźnicy, nieopodal dzisiejszego Jędrzejowa siedzi w swej celi wiekowy zakonnik. Przed sobą ma na pulpicie dużą kartę pergaminu i gęsim piórem pisze wytrwale. Jednakże stare oczy męczą się szybko. Oto musi pióro odłożyć i spocząć.

Myśl jego ucieka w przeszłość. Wspomina dzieciństwo beztroskie u boku ojca, rycerza Bogumiła i matki ukochanej — lata młodzieńcze na dworze króla Kazimierza Sprawiedliwego — owe rozmowy o dziejach Polski, które mu tak w duszę zapadły, że je zapragnął zachować dla potomności — i lata w Paryżu spędzone dla uzyskania tytułu mistrza w naukach —

i pielgrzymkę do Rzymu — i wyjazd w orszaku młodziutkiej, świątobliwej córki Leszka Białego na ślub jej z węgierskim królewiczem Kolomanem — i czasy spędzone w Sandomierzu na probostwie — i późniejsze krakowskie, gdy przywdział fiolety biskupie — i wreszcie ową chwilę, gdy złożywszy infułę, boso, w ubogim habicie szedł pieszo do brzeźnickiego klasztoru a tłumy ubogich, którym był ojcem najlepszym, biegły za nim z płaczem i lamentem aż hen, — za miasto, a potem lata pędzone na modlitwie, umartwieniach i tej cichej, umiłowanej pracy. I oto teraz kronika dobiega dni obecnych. Już kres pracy bliski, jeno nie trza w opieszałości trwać... Palce sięgają po pióro... Drży jakoś ręka, ale to nic... Przemóc się trza, a Bóg sił doda... Pióro znów skrzypi i na pergaminie czernieją nowe litery. — W oczach się mroczy, ale to przejdzie, jeno pracy nie przerywać...

Nagle ręka osuwa się bezwładnie, pióro z niej wylatuje, głowa słania się i opada na niedokończoną kartę pergaminu...

Anna Wajdowa

Czworonożni inżynierowie

Nieduże ssaki o brunatnym, pięknym futerku, małych, mądrych oczkach, szerokim, pokrytym łuskami, ogonie — oto ciekawe zwierzątka, o których pragnę wam dziś opowiedzieć kilka zajmujących szczegółów. Naturalnie domyślacie się już pewno, że mówię o bobrach. Znacie ich puszyste, gęste, lśniące futerko? Jest ono wysoko cenione, ale spotykane u nas w handlu, pochodzi zza granicy, gdyż bobry korzystają w Polsce z ochrony państwowej jako zwierzątka, będące na wymarciu.

Opieka państwowa okazała się bardzo zbawienną, zwierzątka te bowiem, które po wojnie znajdowały się u nas w bardzo małej ilości, przetrzebione niemiłosiernie przez kłusowników i obcych żołnierzy, obecnie rozmnożyły się w trójnasób i gnieżdżą się swobodnie w licznych »żeremiach« tj. domkach nadwodnych lub norach przybrzeżnych na Podlasiu, w Augustowskim i w Wileńskim. Najliczniej rozmnożyły się te zwierzątka na terenie powiatu baranowickiego, gdzie na rzece Szczarze, obok wsi Mogilnica gm. Dobromyskiej, znajduje się obecnie 20 gniazd bobrowych.



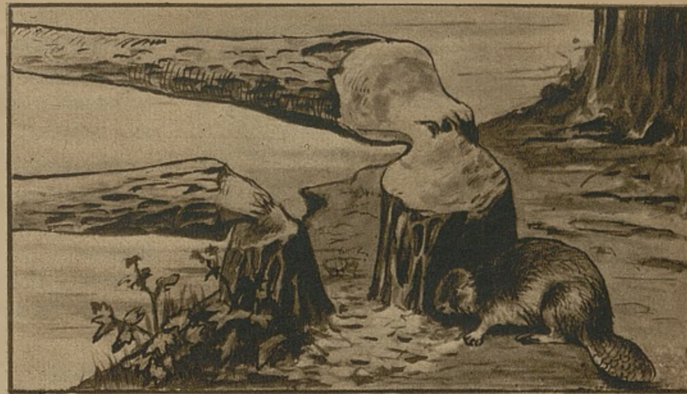
Nie są one u nas jeszcze, pomimo ochrony, tak oswojone z widokiem ludzi, jak w Parkach Narodowych Ameryki Północnej, szczególnie w słynnym »Parku żółtego kamienia« tj. »Yellowstone«, gdzie — jak pisze prof. Szafer »czujne i ostrożne z natury bobry w pobliżu schronisk tak się oswoiły z widokiem człowieka i takiego doń nabrały zaufania, że każdego wieczoru można je dzisiaj obserwować przy pracy, przyczym zbliżają się nieraz do brzegu, na którym stoi kilkunastu ludzi i zabierają spokojnie rzucane na wodę gałązki osiki«.

Mądre zwierzątka poznały, że człowiek tam odnosi się do nich przyjacielsko i nie tylko im nie przeszkadza w pracy ale chroni także przed drapieżcami, przestały się więc otaczać tajemnicą nocy.

A warto się przypatrzyć tym bobrzym trudom i zadziwić się nad ich sprytem, pracowitością, umiejętnością przystosowania się do okoliczności i inżynierskimi zdolnościami.

Zarówno bobry amerykańskie, najliczniej na kuli ziemskiej reprezentowane, jak nasze żyją gromadnie, w koloniach i wznoszą na wodzie domki, czyli »żeremia«, w których po kilka rodzin przebywa. Budują też one tamy w pobliżu tych

budowli, by podnieść zbyt niski poziom wody, a nawet tworzą całe sztuczne jeziora, rezerwy wodne na suchą porę roku. Wejścia bowiem, tak do domków, jak i nor przybrzeżnych muszą być zawsze ukryte pod wodą i w czasie upałów, gdy poziom wody jest niski. Mądre zwierzątka kierują wtedy rezerwy wodne na swoje budowle.



Jako materiału budowlanego używają bobry pni drzew od kilkunastu do kilkudziesięciu cm średnicy. Drzewa te bardzo zręcznie i szybko dokoła podgryzają i obalają, posługując się przy tym bardzo silnymi siekaczami. A czynią to tak umiejętnie i celowo, z jednej strony znacznie więcej podgryzając drzewo, że zawsze upadnie ono tam, gdzie sobie życzą, tj. do wody.

Przy budowie domków mieszkalnych usuwają bobry bardzo starannie niepotrzebne gałęzie na pniach, inne spiętrzają i łączą zaprawą murarską, nadając w końcu całej budowie kształt kopulasty. Wnętrze takich domków wygląda jak piec piekarski o ścianach na stopę grubych i mocnym dachu, do którego wiedzie tylko jedno, pod wodą się otwierające, wejście.

Poza tymi domkami posiadają bobry podobnie jak wydry lub amerykańskie szczury wodne t. zw. »nutrie«, jeszcze daleko rozgałęzione podziemne nory i chodniki wzdłuż brzegów, gdzie szukają nieraz chwilowego schronienia. Niektóre bobry zadawalają się nawet w zupełności takimi ziemnymi siedzibami i nie wznoszą budowli nadwodnych.

Janina Rybczyńska



Hejnał i Kraków! Tak się to z sobą łączy! Ale pragnę cię ostrzec, miły czytelniku: to nie w Krakowie rozbrzmiewa ten hejnał, o którym czytać będziesz. Hejnały grywają w niejednym mieście, a znalezienie własnej drogi w życiu może się dokonać w duszy niejednego chłopca — niekoniecznie w duszy Franka — muzyka.

Autorka.

Ciotka Adela zamknęła szybko a cicho drzwi od stancji. Słychać było dudnienie po schodach. Nim jeszcze Franek zastukał, już otworzyła drzwi i spytała szeptem:

— Gdzieś był?

— A bo co?

— Pan Nowiński jest u dziadka i naskarżył, żeś nie był na lekcji.

— O raju! zapomniałem...

— A dziadek taki zły! Ciskał się, że strach! Nakrzyczał naprzód, żeś gałgan, że żadnej w tobie wdzięczności, niby, że to pan Nowiński za darmo ci te lekcje na organach daje.

Franek poruszył się niespokojnie.

— Że marnujesz dary Boże — o tych talentach zakopanych — wiesz z Ewangelii — mówił. Że gdyby w młodości miał taką jak ty pomoc, to byłby co najmniej organistą. A potem jeszcze gorzej gadał.

— Że co?



— Że cię zbije na kwaśne jabłko, bo tylko się po ulicy włóczysz, z łobuzami się zadajesz.

— Mnie bić? Franek sponsowiał i już ręką za klamkę chwytał.

— Cicho! Przecież wiesz, że cię i palcem nie tknie. Ja tu — mało mi głowa nie pęknie od tych kłopotów, a on uciekać chce! Słuchaj — jutro dziadek nie może grać hejnału — o słyszysz, jak kaszle, i gorączkę ma, a tu mróz taki!

— No i co będzie?

— Co, ano ty musisz.

— Ii, przecie mi nie da.

— To już mnie zostaw. A tu masz — ciotka obróciła się, zdjęła ze ściany trąbkę dziadka. A teraz idź... No, gdzie chcesz i ćwicz się.

— Ciotko, ja nie potrafię! — z prawdziwym przerażeniem szepnął Franek.

— Ale, potrafisz! Toć nieraz próbowałeś, jak dziadka nie było w domu. A zresztą sfałszujesz trochę — trudno — mnie tam wszystko jedno, aby dziadek na wieżę nie poszedł.

Nazajutrz przed południem biegł Franek po schodach wieży. — Oj, żeby się nie spóźnić!

Co też dziadek powie? O raju, żeby się aby nie zbłaźnić. Nie widział dziadka od wczorajszego popołudnia — od tego nieszczęsnego kina. Namówili go, poszedł (w dodatku za pożyczone pieniądze, a dziadek tak się o długi gniewa) no i zapomniał o lekcji. Jak mogłem? szarpnął nim wyrzut sumienia.

Okienko. Wyjrzał: same już dachy. Tam na prawo zegar na św. Rochu. Acha: dwunasta za sześć minut, jeszcze czas. Zwolnił kroku.

Aby tylko tę górną nutę przebrnąć — to cis. Poczciwa ciotka obiecała się modlić!

O, wagi od zegara. Tu drugi krużganek i zaraz już koniec. O jej, zatrzęsło się w nim strachem. Wyszedł na maleńki pomost. Z czterech stron okienka.

Wyjrzał: złoto, różowo, świetliście, a dymy lecą w niebo wprost jakby z kadzielnic.

Oj Boże mój, Boże, niech mi się uda. Święta Cecylio, dopomóż mnie, sierocie.

Wtem zaskrzypiało, zaszurgało i — bam, głębokim basem odezwał się zegar.

Bam, bam, bam, bam...

Franek ujął trąbkę, przyłożył do ust i sam nie wiedział, kiedy zaczął:

Tra ra ra ra...

Dobrze idzie, czysto. Aby to górne cis przebrnąć! Jeszcze jedna nuta — no teraz:

Ra ra ra...

Udało się! Teraz reszta — to już bajki! Schodzi się w dół nutami jak po schodach.

Powoli przeszedł do drugiego okienka. Teraz już zaczął śmielej. Melodia wywinęła mu się z ust i poleciała w równość przed nim. Ani jej dogonić! Ano, pogoni ją i chwyci aż tam w górze na tej górnej nucie! Śmiać mu się zachciało. Oho, czekaj, zaraz cię chwycę! Pfu! z tej uciechy nie dobiegł do samej góry. Inni się nie poznają, ale dziadek powie, że sfuszerował. Teraz nie będzie się już śmiał.

W trzecim okienku było mroczno, bo tu północ. Niżej błękitniały dachy powleczone cieniem. Poważnie, spokojnie zaczął Franek hejnał, jakby się modlił. Naprzód za to, co tu na ziemi, a potem szedł za melodią coraz wyżej, aż tam, gdzie nie ma nic — tylko Bóg! Wydzwonił Mu swoją modlitwę najwyższą nutką, nabrał Bożego tchu i wracał znów na ziemię. Ale już nie ten sam, już w nim tliło się iskrą Bożą.

Więc w czwartym okienku wyśpiewać chciał wszystko to, co czuł, co mu dech

w piersi zapierało, co mu łzy do oczu pędziło. Melodia w radość mu się obróciła i na jej skrzydłach krążył wokoło wieży i grał a grał sobie — na radość, Bogu — na chwałę, ludziom — na pociechę.

A na trzeciaku ledwo zabrzmiały pierwsze tony hejnału drzwi od stancji do kuchni z trzaskiem się otworzyły. Ciotka drgnęła i głowę bardziej jeszcze wysunęła przez otwarty lufcik. Na progu stanął dziadek w kożuchu, w czapie — tak jak szedł codzień na wieżę.

— Kto to? zapytał strasznym głosem.

— Franek — wyszeptała ciotka.

Ciotka ośmieliła się obejrzeć. Dziadek stał wyprostowany, głowę przekrzywił, a ręką leciutko takt wybijał. Wreszcie melodia umilkła. Teraz patrzyli oboje na drzwi. A gdy po schodach rozległo się dudnienie, dziadek drzwi naoścież otworzył.

Franek wpadł i zawahał się, zobaczywszy olbrzymią postać dziadka.

A za chwilę już w jego ramionach szeptał mu w kudłaty kołnierz tylko cztery słowa, ale zawierały one wszystko: i skruchę i zapewnienia na przyszłość i radość:



— Już ja będę muzykiem, już ja będę muzykiem!

Maria Dmochowska

Królewna Śnieżka







Któż nie zna ślicznej bajki o królewnie Śnieżce? Wyrzuca ją z zamku zła królowa macocha. Biedna królewna błąka się po lesie, nie ginie jednak. Otaczają ją zwierzątka i prowadzą do domu krasnoludków. Wkrótce zawiązała się między królewną a krasnoludkami serdeczna przyjaźń. Tymczasem zła królowa dowiaduje się, że Śnieżka żyje. Zamienia się więc w czarownicę, przychodzi z zatrutym jabłkiem i darzy nim królewnę. Śnieżka popada w sen śmiertelny.

Tymczasem odnajduje ją królewicz, pod wpływem jego miłości, Śnieżka się budzi do długiego, szczęśliwego życia.

Film ten wykonał twórca znanej myszki Mickey — Walt Disney. Pracowało nad nim 600 rysowników. By stworzyć ten film, trzeba było wykonać 1.500.000 kolorowych obrazków, jest to bowiem pierwszy rysunkowy film kolorowy. Wykonanie jego kosztowało 10 milionów złotych.

Co zrobiła LOPP za 15 lat



Może nie wszyscy z nas wiedzą, że w tym roku minęło 15 lat od powstania Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Napewno wszyscy słyszeliście o tej dobroczynnej i największej organizacji w Polsce, ciekawi jesteście ile i co przez ten czas dla nas dobrego zrobiła.

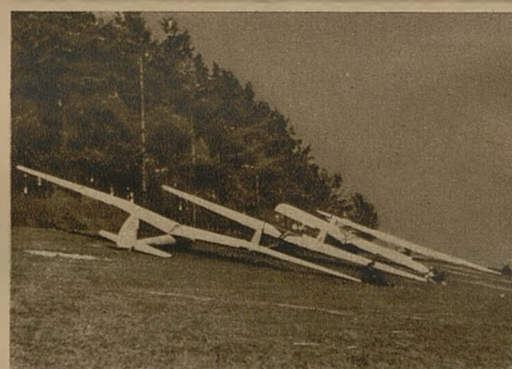
W chwili, kiedy powstała Niepodległa nasza Ojczyzna, zrodziła się także w najszlachetniejszych umysłach potrzeba utworzenia instytucji, która by wzmocniła osłabione długą wojną skrzydła naszego »Białego Orła«.

Mieliśmy już dobre samoloty, ale nie było jeszcze dobrych lotnisk i hangarów. Liga zrobiła i to, jest już teraz gdzie lądować. Warsztaty lotnicze budowały coraz to więcej samolotów, w tym okazało się, że nie ma wyszkolonych pilotów. Nowa praca L. O. P. P. Powstały cztery szkoły pilotów. Najbardziej nowoczesna z nich jest pod Bielskiem w Aleksandrowicach.

Po całej Polsce są już od paru lat czynne szkoły szybowcowe, tak łatwo dostępne dla każdego z was. Kto zechciałby tylko latać. To również dzieło Ligi.

Ale nie tylko dla nauki polskiej przychodzi Liga z pomocą. Myśli o nas wszystkich i to w najgorszych warunkach bo na wypadek wojny. Wybudowała nam dlatego wiele schronów przeciwgazowych i zaopatrzyła je w sprzęt ratowniczo-sanitarny i przeciwgazowy. W każdej niemal szkole prowadzi kursy obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej.

L. O. P. P. troszczy się i o najmłodszych. W każdej większej szkole stykacie się sami z Kółkami modelarskimi, które utrzymuje Liga. Co roku urządza dla was ogólno-polskie zawody modelarskie.



A teraz przyjrzyjcie się temu rysunkowi, który da wam obraz wzrastania i siły Ligi. Jak widzicie w roku 1926 L. O. P. P. była jeszcze słaba, ale teraz ma już przeszło półtora miliona członków i dziesięć milionów złotych z waszych drobnych składek.



211228	209521	249411	349432	484963	608885	660347	880379	1061948	1250685	1331231	1483512	1632936
1923-5	1926	1927	1928	1929	1930	1931	1932	1933	1934	1935	1936	1937.

Rycerzyki św. Stanisława

(Zakończenie.)

— Witajcie dzieci — rzekł pustelnik — a nie gniewajcie się, żem ku wam wyszedł, ale mi to wasze matki wczoraj rzekły, jaką to podejmujecie rozprawę z tym bożkiem. Nie mogąc się sprawie samej przeciwstawić, jako jest dobra i święta, prosiły, bym za was słał modły do Boga i bym tu do was nocą przyszedł.

Niezbyt im to się podobało, że matki ich jak dzieciuchów małych traktują, ale nie okazali tego, bo Macieja serdecznie czcili. Szli tedy z Maciejem i pokazali mu, jak już przechylili bożka.

Ani się spostrzegli, jak bożek legł na kamieniach, jak mu toporkami roztrzaskali potężną głowę. Ale robota poszła im raźno, tym bardziej, że pustelnik ich zachęcał, a chwalił serdecznie a opowiadał, jaki to biskup Stanisław dumny będzie, że ma w swojej pieczy tak dzielne pacholęta.

Miło im było słuchać tych pochwał, gdy na zwalonym pniu drzewa usiedli, na boku polany i zmęczeni odpoczywali.

— Ponoć za parę dni jedziecie do naszego świętego biskupa, po wsparcie i naukę.

— A jedziemy, ojcze i Mirka i Władka także z sobą bierzemy, bo Władek chce jako Bolek służyć Bogu...

— Sława Bogu i cześć niech będzie — odpowiedział Maciej. — Ale wiecie, czemuż to biskup taki dobry, tak się młodymi opiekuje, biednym pomaga, a Bogu służy żarliwie?...

— Jakoż mamy wiedzieć? Boga kocha i taki jest' — powiedział któryś z chłopców.

— Boga kocha, dobrześ rzekł, ale nie rzekłeś, że od młodości, od takich młodych i jeszcze wcześniejszych dni, jak wasze, jako to dziecię Jezus był posłuszny rodzicom... Taki to wasz biskup był pacholęciem. Rodzice też naukę mu dali najwyższą, jaką dać mogli i Bogu swe największe kochanie, synaczka swego oddali i poświęcili, bo Bóg mu dał dar najcenniejszy, do służby swej wyraźne w duszy wołanie.

Opowiadał im, jak to go znał, jak razem nieraz się uczyli, bo rodzice biskupa pod Bochnią mieszkali. Kapłan Stanisław, któremu rodzice dali takie imię, by się stał sławą Polsce i Kościołowi, wszedł już wysoko bo na tron biskupi...

— Idźcie już synaczkowie, bo drogę macie daleką, pokażę wam jako się tą ścieżyną idzie lepiej i raźniej, bo gościniec niedaleko.

Za kilka dni jechali do biskupa na osiołkach i małych konikach z radością w sercu. Nikt się nie domyślał, że to oni zwalili bożka, poza matkami i Maciejem nikt o tym nie wiedział. Jechali uszczęśliwieni, że oni pierwsi powiedzą, jako mu w pracy pomogli.

Po paru dniach drogi ujrzeli nad Wisłą gród krakowski, gdy podjechali bliżej, niedaleko rzeki ujrzeli gromadę dzieci, pośród nich ukochanego pasterza biskupa Stanisława Szczepanowskiego, jak się pochylał ku dzieciom swym dobrotliwym ojcowskim ruchem i rozdawał im jabłka krasne i chleb.

Bolko pomyślał, że jutro dostaną z jego rąk Chleb Żywy i że przyjdzie dzień, gdy go sam rozdawać będzie ludziom...

Zofia Poreyko



Adwent



Adwent, przysposobienie do Bożego Narodzenia, obchodzono w kościele bardzo wcześnie.

W Polsce łączy się z adwentem, jak z innymi świętami i okresami roku, cały szereg ogólnych i dzielnicowych zwyczajów.

I tak w Krakowie przez cały adwent z Mariackiej wieży hejnał gra cała kapela. Na Mazowszu i Podlasiu, rankiem i wieczorem chłopcy grają na ligawkach, a lud, podobnie jak przed Wielkanocą, spowiada się i przystępuje do Stołu Pańskiego. Owa gra na ligawkach, którą spotyka się również na Kurpiach, ma przypominać nadejście Sądu Ostatecznego.

Najpiękniejszym zwyczajem adwentowym, pielęgnowanym w dawnej Polsce, przez wszystkie stany, i zachowanym do naszych czasów, to Msza św. odprawiana przed świtem, zwana »roratami«.

Piękny ten zwyczaj przechował się specjalnie w Polsce i w krajach sąsiednich, jak półn. Węgrzech, Spiżu i Orawie, a początki jego wywodzą się z XII w. od Mszy odprawianej w Rzymie przez papieża, która rozpoczyna się od słów: »Rorate coeli« — nieba, spuśćcie rosy — ku czci Bogarodzicy. W czasie Mszy tej pali się na ołtarzu siedem świec. Najwyższa wyobraża N. Pannę. Pierwsze roraty odprawiono w Poznaniu za Przemysława Pobożnego, a w Krakowie Bolesław Wstydliwy wraz z całym dworem, nigdy ich nie opuszcza. On też stawiał pierwszy na ołtarzu najwyższą, gorejącą świecę, wypowiadając słowa: »Gotów jestem na sąd Boży«, a za królem czynili to przedstawiciele wszystkich stanów: biskup, senator, ziemianin, rycerz, mieszczanin i kmieć.

Owa Msza, odprawiana przed wschodem słońca, ma oznaczać czuwanie chrześcijan i pamięć o Sądzie Ostatecznym. W dawnej Polsce w czasie adwentu oddawano się praktykom religijnym, umartwieniom i zachowano post ścisły.

A. Olexiński



Pięknymi wrażeniami dzieli się z nami Krucjata Eucharyst. w Mucharzu. — »Wstępując w szeregi Krucjaty pragnęliśmy w nich wiernie służyć Jezusowi i kochać Go. Od pierwszej chwili zapisania się, zaczęliśmy pracować nad tym, aby się stać godnymi nazwy, tak zaszczytnej, jaką jest Krucjata. Nazywają nas Rycerstwem Jezusa. Szeregi nasze ciągle się powiększają, a obecnie posiadamy już własny sztandar, którego poświęcenie odbyło się w dzień Zielonych Świątek. Cie-

szyliśmy się tą uroczystością bardzo, ale nie tylko my, lecz i rodzice nasi. Złożenie uroczystego ślubowania u stóp ołtarza było zakończeniem uroczystości, a następnie w szeregu karnie, jak przystało na rycerzy Jezusa, pod rozwiniętym, nowopoświęconym sztandarem, pomaszerowaliśmy do Domu Katolickiego, gdzie nasze kochające Matki przygotowały nam śniadanie. Dzień ten upamiętnił się nam na zawsze i dokładać będziemy wszelkich starań, aby nie zdradzić sprawy naszego Wodza, który tak bardzo ukochał dzieci«.

Króluj nam Chryste!

W miesiącu listopadzie Młody Las przypomina Hasło Krucjaty:
Bądź ofiarny dla dusz czyśćcowych!



Ostatnio nadeszło znów dużo pięknych i ciekawych listów. Wiele z nich pochodzi od nowych przyjaciół. O tym zapewnia mnie Krysia Krause z Krakowa: »Pierw-



szy raz piszę do Ciebie, bo dopiero od tego miesiąca jestem twoją prenumeratorką. Poznałam Cię dopiero niedawno, a szkoda, ale przyrzekam od teraz strasznie Cię kochać i uważać Cię zawsze za jedynego swego przyjaciela. Ale i wszystkie moje koleżanki nie tylko będą Cię znać, ale i pewnie prenumerować. — Przyrzekam!« Brawo Krysiu! Czekam na dalszy liścik!

Po raz pierwszy również pisze do mnie Dorotka Sobota z Chorzowa, zachęcona, jak pisze, konkursem oszczędnościowym. Najbardziej w Młodym Lesie podobało jej się »Serce leczy« i «prawdziwi przyjaciele«. Czekam na dalsze wiadomości z Twego Chorzowa!

Kilka miłych liścików dostałem ze Lwowa, ze szkoły im. M. Magdaleny. I tak napisali: Staś Dustanowski, Krzyś Westwalewicz, Jerzy Kluger i Bogdan Paraponiak.

Dziękuję za pamięć. Zasyłam wzajemne pozdrowienia.

W następnym zeszycie ogłosimy wynik konkursu o oszczędności.



Prosimy o wpłacenie prenumeraty za pierwszy kwartał i pierwsze półrocze, byśmy mogli nadal wysyłać Mł. Las



◆ Specjalnym układem między rządami polskim a czechosłowackim uregulowano ostatecznie kwestię granic między oboma państwami. Zrezygnowaliśmy z plebiscytu na spornych obszarach a otrzymaliśmy jeszcze: większe obszary na Śląsku Zaolzańskim, oraz duży skrawek Tatr, pomijając inne drobne obszary.



◆ Dnia 30 października został odsłonięty pomnik ks. przeora Kordeckiego w Szczytnikach obok Iwanowic w kaliskim, rodzinnej wiosce bohaterskiego obrońcy Jasnej Góry. Pomnik ten wraz z podstawą ma około 18 metrów wysokości, widoczny więc będzie z bardzo dużej odległości. Z obu stron pomnika wznoszą się mury, wzorowane na wałach jasnogórskich. Na wałach tych ustawiono stare haubice.



◆ W 1952 roku Indie brytyjskie będą obchodziły 1900 lecie przybycia do tego kraju, jak mówi legenda, jednego z Apostołów, św. Tomasza, oraz 400-lecie śmierci św. Franciszka Ksawerego. W związku z tym katolicy Indii czynią starania, aby w roku tym Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny odbył się w Indiach.



◆ Dnia 6 listopada odbyły się w całym kraju wybory do sejmu. Było to wydarzenie o wielkiej doniosłości, gdyż od składu sejmu będzie w dużej mierze zależało, jak będą się kształtować losy Polski.

◆ W zeszłym miesiącu, październiku, minęło 20 lat od chwili, kiedy na ziemiach Polski otwarto w Lublinie Uniwersytet Katolicki a czwarty z kolei w wolnej Ojczyźnie po Krakowie, Lwowie i Warszawie. Z okazji tej rocznicy odbyła się w Lublinie podniosła uroczystość.

Filek i Milek



Ciąg dalszy.

Rankiem w dzień imienin cioci
Stryj ze snu ich budzi
— Wstawać smyki! A niech żaden
Dziś mi nie marudzi!

Bukiet ten zanieście cioci!
Życzenia sam złożę,
Kiedy do niej prosto z biura
Zjadę na motorze.

— A to ci ogromna wiecha!
Dziwuje się Milek.
— Wiesz, mam pomysł, będzie heca!
Krzyknął naraz Filek.

Włóżmy nieco, ale zgrabnie,
Pokrzyw do tej wiechy!...
Ciocia sparzy sobie nosek,
Będzie dość uciechy.

— Ach co za prześliczny bukiet!
Jestem zachwycona!
Mówi ciocia, wiązkę ziela
Biorąc z rąk Milona.

Teraz ile sił do domu!
Bo gdy się spostrzeże
Br...mnie na myśl samą o tym
Okropny strach bierze!

Ciocia nosek poparzyła,
Trzy razy zemdlała..
Teraz twarz swą w lustrze bada,
I z gniewu drży cała.

Stryja, gdy nadjechał z biura,
Ciocia miotłą wita.
Precz mi — woła — z oczu. Odtąd
Między nami kwita!

Ciąg dalszy nastąpi.

Warunki prenumeraty w 1938/9 r.

Prenumerata zbiorowa

Pojedynczy zeszyt zakupiony osobno 20 groszy.

Rocznie	**3.20 zł**
Półrocznie	**1.80 „**
Kwartalnie	**1.00 „**

Na każde 15 egzempl. dodaje się jeden bezpłatnie.

W sprawach prenumeraty adresować: WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY, Kraków, ul. Kopernika 26. PKO. nr 400.152. W sprawach redakcyjnych: Redakcja Młodego Lasu. Kraków, ul. Kopernika 26.

Redaktor: KS. STANISŁAW KUŹNAR T. J.

Za pozwoleniem Władzy duchownej. — Drukarnia Apostolstwa Modlitwy (Księży Jezuitów).

